

## Adriatycki żłobek

Uzasadnieniem tytułu jest wiek dwojga członków załogi – siedmiomiesięczny Tymek i półtoraroczna Lenka. Można dyskutować celowość zabierania na morze takich „załogantów” ale argumentacja Alana była do bólu szczerą: albo zabierzemy żony i dzieci albo nici z rejsu. Życie dla malców na statecznej Bavarce 44 nie było chyba szczególnie uciążliwe, gorzej nieco dla dorosłej części załogi. Praktycznie, poza Alanem, który miał za sobą rejs na Zawiasie, dla wszystkich było to pierwsze spotkanie z morskim jachtem. Na szczęście, rejs odbywał się podczas wyżowej pogody pomiędzy osłaniającymi od fali wyspami Dalmacji.

Do Krvavicy dotarliśmy rano i choć w umowie była mowa o godz. 1700 jako terminie odbioru jachtu, był on gotowy do zaokrętowania od zaraz. Papierowe formalności zostały szybko dokonane tylko chleba nie było gdzie zakupić. Metnie obiecywano poniedziałek. Na szczęście organizatorzy zadbali już w Krakowie o prowiant więc chleb można było zastąpić jakimś ersatzem. Panował nieznośny upał zatem zaproponowałem, by noc spędzić w najbliższej zatoczce wyspy Bracz. Propozycja przyjęta została z mieszanymi uczuciami ale ostatecznie została zaakceptowana. Do przepłynięcia było raptem 5 mil a z północy wiał lekki ale wystarczający do żeglugi półwiatrem wiaterek. W zatoce Rustica stało już kilka jachtów lecz dla Islanda miejsce na rzucenie kotwicy jeszcze się znalazło. Wieczorem wiatr ucichł i po kolacji można było udać się na zasłużony po długiej podróży wypoczynek. Przynajmniej o tyle na ile pozwalali beniaminkowie

Rankiem ani śladu wiatru, Podnieśliśmy kotwicę i ruszyliśmy na motorku w stronę Stari Gradu. Wkrótce jednak wiaterek się pojawił, niestety, zachodni więc prosto w oczy. Postawiliśmy jednak żagle i pracowicie halsowali pod wiatr by wreszcie, minawszy przylądek Kabal wjechać z rozmachem do portu. Na najbliższej kei czekał już marinero i zaprosił do zacumowani koło wielkiego motorowego jachtu. Ster strumieniowy się sprawdził i pewnie zacumowaliśmy rufą do kei i dziobem do muringu. Lenka, która szczególnie cierpiała z powodu ograniczenia ruchów na jachcie mogła się wreszcie wybiegać, Wkrótce dotarł do portu Irek, płynący na spotkanie ze Splitu

Rankiem zachodni wiatr wiał dość żwawo i spychał nas na tą wielką motorówkę. Jak na złość ster strumieniowy odmówił współpracy i tylko wielkie odbijacze ratowały nas od porysowania burt. Skiper z owego jachtu uznawszy widać, że nie potrafię posłużyć się sterem strumieniowym najpierw próbował odpychać nas za bimini, co skończyło się jego naddarciem a następnie próbował za mnie wyprowadzić nasz jacht co skończyło się oparciem na jego murینگach. Wreszcie po tak kompromitującym początku udało się od nadbrzeża odejść, nieproszonego pomocnika wysadzić i ruszyć w kierunku wyjścia z portu. Gdy tylko zatoka się rozszerzyła rozwinęliśmy żagle i pracowicie rozpoczęliśmy halsowanie w stronę zachodniego cypla wyspy Hvar.

Po minięciu przylądka zrobiło się lajtowo bo w stronę Visu ( wyspy ) wypadł nam kurs około półwiatrowy. Po 1800 dotarliśmy do zatoki Rukavica, gdzie na boi stał już zacumowany jacht Irka. Jak było do przewidzenia, wieczorem zgłosił się właściciel lokalnej knajpki oznajmiając, że boje są przeznaczone dla jego klientów. Byliśmy jednak po kolacji a knajpka prezentowała się dość marnie więc skończyło się wysupłaniem 150 kun za korzystanie z prywatnej boi.

Tu musieliśmy odbyć nieplanowaną wycieczkę do Visu, ponieważ popłakujący Tymek miał sporą gorączkę i trzeba było poszukać lekarza. Port w Visie jest aktualnie w stanie totalnej przebudowy zatem postój wypadło nam odbyć na kotwicy a komunikację z lądem odbyć przy pomocy tendra. Szczęśliwie, okazało się, że choroba juniora była rezultatem ząbkowania. Zjedliśmy jeszcze pizzę w roli obiadu i powróciliśmy na jacht. Problemem było uzupełnienie wody na drogę. Jedyne źródłem była stacja paliwowa. Obsługujący powiedział, że owszem, wodę możemy sobie zatankować jeśli tylko mamy dostatecznie długi wąż. Wymagało to trochę

ekwilibrystyki ale ostatecznie się udało. Koleś wspomniał coś o piwie więc dostał na nie paręnaście kun i w drogę.

Po południowej stronie wyspy znajduje się wąska zatoczka zakończona plażą. To Stiniva. Weszliśmy do niej ale miejsca na zakotwiczenie w niej już nie było. Stanęliśmy zatem w sąsiadującej Małej Travnej a przeprawa na ową, kamienistą jak się okazało, plażę odbyła się za pomocą kolejnych rejsów tendrem. Była okazja do wypróbowania przyczepnego silniczka. Dzieciaki przywiozły na pamiątkę piękne otoczaki z plaży.

Świtkiem wyrwaliśmy kotwicę i na motorku do Biszewa, w stronę Modrej Spliji. Okazuje się, że tu już działa cały przemysł turystyczny. Cwaniacy, usiłujący wpłynąć do jaskini za pomocą własnych pontonów byli zdecydowanie odsyłani przez warującego przy wejściu marinero a chętnych do zwiedzania zbierały dwie krążące po zatoce motorówki. 10 minut przyjemności i powrót na jacht ale uczestnicy potwierdzili, że warto było. W drodze do Komizy, korzystając z lekkiego wiatru urządziliśmy sesję zdjęciową, kręcąc ósemki wokół warującego w tendrze Piotra. Czas na obiad spędziliśmy na boi, bo okazało się, że w okolicy portu nie wolno rzucać kotwicy ale na szczęście kilkugodzinny postój był darmowy.

Teraz w planie był nocny rejs do Trogiru. Na resztkach wiatru wypłynęliśmy poza wyspę ale wkrótce, jak co wieczór, wiatr poszedł spać i całą noc spędziliśmy przy usypiającym mamrotaniu motorka. Trochę podsypiałem w messie, trochę zerkałem co się na górze dzieje. Koło drugiej nad ranem zbliżyliśmy się do wejścia do zatoki Trogirskiej. Uznałem, że wpływanie do portu przed świtem jest głupim pomysłem i wyszukałem wygodne kotwicowisko pomiędzy Svetą Funiją a Ciovo gdzie dospaliśmy do ósmej. Do Trogiru dotarliśmy o dziesiątej. Malownicze miasto bardzo się podobało a Lenka nareszcie mogła się wybiegać do syta.

Pozostał ostatni etap. Zgodnie z umową powinniśmy dotrzeć do Krvavicy do 1800 wyruszyliśmy zatem w drogę o 0700 pamiętając prognozę zapowiadającą przeciwne wiatry. Pracowicie halsowaliśmy w stronę Krvavicy z niepokojem obserwując wiszącą nad Brackim kanałem burzę. Zawczasu zrolowaliśmy połowę grota i genuy. Wreszcie wpłynęliśmy w strefę burzy. Po raz pierwszy w tym rejsie podmuchy wiatru sięgały 20 węzłów a ulewa obficie zmyła sól z pokładu. Trochę strasznie brzmiały nad nami grzmoty ale szczęśliwie błyskawice nas omijały. Wkrótce kanał zwęził się na tyle, że halsowanie mijało się z celem więc zrolowaliśmy genuę i odpaliliśmy motorek. Do celu dotarliśmy o 1900 o co nikt do nas pretensji nie zgłaszał natomiast zaskoczeniem była wiadomość, że nie ma tu gdzie zatankować paliwa a najbliższa stacja paliwowa znajduje się w Makarskiej. Ostatecznie chłopcy wzięli dwa plastikowe kanistry i pojechali samochodem po paliwo.

Przekazanie jachtu odbyło się sprawnie. Wypunktowaliśmy obsłudze kilka drugorzędnych niedoróbek po czym Ewa na pożegnanie wypełniła czarterowni laurkę. No i w drogę do Krakowa. Sądząc po ciepłym pożegnaniu sprawdziłem się jako opiekun morskiego żłobka.